



Magdalena Środa Kobiety i władza

Magdalena Środa (ur. 1957) – etyczka, filozofka, publicystka, feministka. Zajmuje się historią idei etycznych, etyką stosowaną, filozofią polityczną i problematyką kobiecą. Profesorka Uniwersytetu Warszawskiego, członkini zespołu „Krytyki Politycznej”, redaktorka „Przeglądu Filozoficznego” i „Etyki”, stała felietonistka „Gazety Wyborczej”. Autorka książek *Idea godności w kulturze i etyce* (1993), *Idee etyczne starożytności i średniowiecza* (1994), *Idee etyczne czasów nowożytnych i współczesności* (1998) oraz *Indywidualizm i jego krytycy* (2003). W latach 2004–2005 pełnomocnik Rządu ds. Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn.

Kobiety
i władza

Magdalena
Środa
Kobiety
i władza

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

Kobietom, które kocham:

Agusi, Heli, Dorocie, Piere-Martine, Nice, Pascaline, Korze, Oldze, Wandeczce, Magdusi, Pio, Kazi, Joli, Aneckiej, Gosieńce, Kindze, Tereskom, Krysi, AgraŃce, Karolinie i Agnieszce, Lenie, Ani, Annie, Joasi, Małgosi, Bożence, moim mamom, Grzybkowi i wszystkim innym.

Wstęp	9
1. Czy pani jest feministką?	13
2. Kobiecość prawdziwa?	31
3. Ciało jako przedmiot troski	48
4. O macierzyństwie, tchórzofretkach i kurzych skrzydełkach	67
5. Dziecko	89
6. Kto się boi <i>in vitro</i> ?	98
7. Co robić, żeby mieć dzieci?	109
8. Dużo mężczyzn, mało partnerów	117
9. Od pasterza do dawcy	128
10. Rodzina w epoce dekonstrukcji	142
11. Seks i Kościół	158
12. Seks, polityka, edukacja	184
13. Aaaaby...	206
14. „Weź jelito owcy”	224
15. O kobiecie, której zgwałcić nie można	233
16. Co nas podnieca?	244
17. Obcy, czyli geje	260
18. Joanny i Safony	276
19. Kościół, Sztokholm i przemoc	289
20. Ręce pełne roboty...	307
21. Cienie i blaski rynku	324
22. Kobiety i władza	341

23. Entuzjastki i radykałki	362
24. Feminizm, lewica, troska	383
25. Solidarność, pamięć, przyszłość	402
Zakończenie	422
Apendyks	425
Przypisy	457

Powinnam zatytułować ten zbiór tekstów „Moje słuszne feministyczne poglądy na wszystko”, ale to by brzmiało podobnie jak tytuł książki Leszka Kołakowskiego, więc swojej dałam tytuł skromniejszy: *Kobiety i władza*. Nie chodzi rzecz jasna o konkretną władzę, lecz o władzę w jej szerokim, kulturowym i politycznym rozumieniu. Płeć, czyli kobiecość, ale także męskość (i wszystko to, co pomiędzy), to kategorie i relacje władzy. Jej wpływ uwidacznia się już przed narodzinami: oczekuje się nas na świecie jako dziewczynki lub chłopców i natychmiast wywiera presję (miłość rodzicielska też jest rodzajem władzy), byśmy spełniali określone, sztywno wyznaczone role. I nie kwestionowali ich. Istnieje więc władza rodziców, rówieśników, władza pastoralna, władza kleru, władza opinii, mediów, władza polityczna, władza boska, władza Prawdy lub Natury. Wszyscy jesteśmy wplątani w rozbudowane sieci władzy zarówno faktycznej, jak i symbolicznej. Z władzą wiąże się przemoc, ale również wolność. Zrozumieć źródła i formy przemocy to postawić poważny krok na drodze ku wolności.

Koniunkcja (i) w tytule tej książki ma dawać do myślenia: Jaka władza? Nad kim władza? Które kobiety mają władzę? Kiedy ją miały? Lepiej byłoby dać tytuł „Kobiety i brak władzy” albo „Kobiety i władza alkowy”, żeby się wpisać

w mainstream wydawnictw kobiecych, które co rusz radośnie zawiadamiają swoje czytelniczki, że nie ma to, jak być kobietą, bo to ona jest szyją, która kręci męską głową. Wystarczy być szczupłą, piękną i młodą, a wszystko można osiągnąć.

Ale ta książka nie wpisuje się w popularny mainstream „kultury kobiecej”. To książka feministyczna. A od feminizmu wszyscy stronią. Od feministek też. Bo albo boją się utraty władzy, albo boją się wolności.

W maju 2008 roku ukazało się w „Gazecie Wyborczej” zdjęcie z posiedzenia rządu. Jedno z wielu posiedzeń jednego z wielu kolejnych rządów. Na zdjęciu, które zajmowało jedną trzecią strony, widocznych było dziewięciu panów w ciemnych garniturach, których wyraz twarzy świadczył o tym, że wiedzą o znaczeniu, jakie mają, i że cieszą się władzą. Dlaczego na zdjęciu nie było kobiet, również członkiń rządu? „Wypadły z kadru” – poinformowała mnie ówczesna rzeczniczka. „W innych pismach, gdzie kadr był większy, widać było jeszcze minister Kopacz” – dodała, sądząc być może, że minister Kopacz – wszak kobieta – jest wystarczającym dowodem emancypacji i politycznej równości.

Dlaczego w kraju, w którym ponad 50 procent mieszkańców to kobiety i który jest krajem w miarę demokratycznym, rządzą niemal wyłącznie mężczyźni? I dzieje się to, mimo że – jak dowodzą socjologowie – są od kobiet znacznie gorzej wykształceni, mniej zrównoważeni, bardziej egocentryczni i agresywni, więcej piją, częściej popełniają przestępstwa, częściej chorują i wcześniej niż kobiety umierają? Dlaczego kobiety, choć lepiej wykształcone, bardziej zrównoważone, mniej agresywne, bardziej myślące o konkretach niż o abstrakcyjnych ideach, bardziej skupione na trosce o innych niż na partyjnych walkach, nie mają dostępu do władzy, stanowisk, kariery i nawet w sferze prywatnej, w której najczęściej

przebywają, są opresjonowane i pogardzane, bo przecież nikt – a już na pewno nie ci, którzy władzę posiadają – nie docenia tak zwanej domowej pracy kobiet.

„Wypadły z kadru”... – to twierdzenie pani rzeczniczki jest optymistyczne. Bo to tak, jakby kobiety kiedyś w tym kadrze były, ale teraz ich nie ma. Tymczasem one nigdy jeszcze do tego kadru nie weszły! Krytycy powiedzą: „Ale przecież kobiety mają władzę, przecież jest Merkel, Rice, Clinton, królowa Elżbieta!!” Odpowiadam: „Proszę dalej wymieniać!! Ile ich jest?” Lista jest niewiarygodnie krótka, bo przecież kobiety, które mają polityczną władzę, to anomalia, a nie norma.

Książka ta poświęcona jest próbie odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się dzieje.

Nie ma ona charakteru ściśle filozoficznego czy genderowego. To raczej zbiór tekstów, z których znaczna część, w jakiejś postaci, była drukowana¹, inne to „eseje na zadany temat”. W czasie ostatnich dwudziestu lat w wielu miejscach – proszona lub nie – mówiłam, co sędzę o kobietach, ich pozycji i roli w patriarchalnym społeczeństwie, o rodzinie, seksie, dzieciach, macierzyństwie, rynkach pracy, Kościele, solidarności i przemocy. Przyszedł czas, by wszystko to spisać. Zrobiłam to w dwóch celach. Po pierwsze, żeby podsumować tę część mojej intelektualnej i politycznej aktywności, która wykracza poza działalność ściśle akademicką czy publicystyczną, a jest dla mnie osobiście bardzo ważna. Po drugie, chciałam zrobić coś dla popularyzacji idei feministycznych, równościowych i problematyki kobiecej w ogólności. Książkę tę adresuję więc nie tyle do kobiet ze świata akademickiego czy studiów nad kulturą tożsamością płci (*gender*), ile do kobiet po prostu.

Jest to więc lektura popularna, łatwa, choć nie wiem, czy przyjemna. Nie zajmuję w niej stanowiska w ważnych kwe-

stach problematyki *gender*. Nie polemizuję ze współczesnymi, filozoficznymi koncepcjami podmiotu czy płci (zrobiłam to w innej książce²), nie przedstawiam najnowszych badań dotyczących problematyki kobiecej (robiłam to, będąc „na urzędzie”^{*}). Nie jest to nawet sprawozdanie z lektur, które czytałam i czytam, poświęconych tej problematyce. Nie wychodzę poza „drugą falę feminizmu”, to znaczy ten typ refleksji, którego celem jest szukanie odpowiedzi na proste pytanie: „Dlaczego tak się dzieje, że kobieta, wszędzie i zawsze, tylko dlatego, że jest kobietą, znajduje się w gorszym położeniu niż mężczyzna?” Pytanie to stawiało wiele kobiet przede mną. Nie dość wiele. Ciągle trzeba je stawiać. I ciągle szukać odpowiedzi. Żeby kobietom żyło się lepiej.

* W latach 2004–2005 pełniłam funkcję pełnomocnika rządu do spraw równego statusu kobiet i mężczyzn. Z urzędu odeszłam wraz z rządem Marka Belki po wyborach parlamentarnych (2005), które wygrał PiS. Jedną z pierwszych decyzji premiera nowego rządu Kazimierza Marcinkiewicza była likwidacja urzędu pełnomocnika. Premier uznał, że kobiety mają taki sam status jak mężczyźni. W składzie jego gabinetu nie było ani jednej kobiety. Marcinkiewicz zrobił polityczną karierę jako bezkompromisowy obrońca chrześcijańskich wartości, w szczególności rodziny. Po odejściu z funkcji premiera dostał intratną zagraniczną posadę w Londynie, potem rozwiódł się i przeszedł do show-biznesu. O dalszych losach tego obrońcy świętości rodziny i jego nowej żony można przeczytać na www.pudelek.pl.

1. CZY PANI JEST FEMINISTKĄ?

Pytanie to brzmi niemal jak: „Czy pani jest terrorystką?”, „wiedźmą?” lub „komunistką?”, a w wersji jeszcze bardziej radykalnej: „Czy ma pani coś wspólnego z Kazią Szczuką?!” Nie!! Chyba nie... a może tak..? No tak!

Waldemar Łysiak – niewątpliwie bardzo oryginalna postać gabinetu polskich osobliwości – zabrał ongiś głos na temat wstydu i napisał swoim genialnym piórem: „Wszelacy bezwstydni obrońcy łajdactwa czy zbroceń, wszelkie obrończynie pseudotolerancji czy feminoterroryzmu, różne Kingi, Jarugi, Szczuki, Środy muszą uważać”³. Po czym posypały się groźby. Można oczywiście powiedzieć, że Łysiak ma poważne problemy ze sobą, ale wtedy trzeba by też zdyskredytować niemалą rzeszę jego czytelników. A to nie cała, ale – Polska właśnie. Feministką lepiej tu nie być. Straszy, wścieka, budzi agresję. Odejmuje rozum tym, którzy go mieli.

Stereotyp feministki jest bardziej trwały niż Polaka-katolika. W Kościele, jak się powiada, jest rozłam, jedni więc lgną do Życińskiego, inni do Głódzia. Jedni są otwarci, inni ortodoksyjni. Jedni wielbią Najświętszą Panienkę w Częstochowie, inni ojca Rydzyka w eterze. W czasie wakacji 2006 roku pojawiła się wersja „katolicyzmu turystycznego” i przyjęła się w postaci pielgrzymek autokarowych. Jest ruch i zmiana. A „feministka” od lat pozostaje ta sama, ani liberalna, ani

ortodoksyjna, ani wielbiąca, ani posłuszna: po prostu zła i głupia. A do tego kompletnie wymyślona.

Feminizm, zgodnie z potocznym rozumieniem tego słowa, stanowi ideologię kobiet samotnych, agresywnych, radykalnych pod każdym względem, być może nawet lesbijek, które na wiecach lub w siłowniach walczą z tym, „co naturalne”, „boskie”, „tradycyjne”. Feministki – idąc dalej tym tokiem myślenia – z reguły mają poważne mankamenty urody i sporo nałogów (Piotr Zaremba tak mnie opisał w „Newsweeku”: „Wiecznie skrzywiona twarz znerwicowanej intelektualistki, która popała papierosa za papierosem”; Kinga Dunin⁴ twierdzi, że to ją miał autor na myśli, w każdym razie jeśli chodzi o papierosy, bo to, że każda feministka jest znerwicowana i „ma wiecznie skrzywioną twarz”, jest opinią powszechną i ugruntowaną). Feministki są jawno- lub kryptokomunistkami („ty bolszewicka konserwo!” – napisał mi niedawno jeden internauta, komentując mój artykuł), pewnie dlatego można nimi straszyć dzieci, przeciwników politycznych i wszystkich tych, którzy szukają łatwych wyjaśnień dla złożonych zjawisk życia społecznego. Według niektórych respondentów, badanych przez Małgorzatę Fuszarę, feministki to: „osoby, które chcą sobie podporządkować mężczyzn”, „odrzucające mężczyzn”, „nie wiem, ale to najgorszy człowiek”, a feminizm to: „głupota i nic więcej”, „coś, czego nie powinno być”, „coś urojone przez kobiety”, „demoralizacja życia społecznego”, a nawet „ruch przeciwko Żydom”, „dyskryminacja różnych wyznań” i – „to samo, co socjalizm”⁵.

Feministki odpowiedzialne są za nietrwałość rodziny, przemoc domową, bezpłodność, bezdzietność, zapaść demograficzną kraju, bezrobocie, kryzys męskości, upadek autorytetów, alkoholizm, uwiad tradycji, rozpasanie seksualne,

nowotwory, samotność wszystkich i gradobicie. Kilka lat temu eksposeł Jackowski napisał dwutomowe dzieło zatytułowane – jak na posła porządnej prawicy przystało – *Bitwa o Polskę i Bitwa o Prawdę*, gdzie jako przyczynę kryzysu rodziny, uwiadu kobiecości prawdziwej i ogólnej obyczajowej degrengolady wskazywał komunistyczne pismo „Kobieta i Życie”, które ponoć lansowało emancypacyjny tryb życia kobiet w sposób tak skuteczny, że dziś pan poseł może tylko wyszarpywać sobie włosy z głowy, biadoląc nad bezpowrotnym upadkiem kobiecości, rodziny, polskości i Prawdy w ogólności.

Mirosław Kofta w przeprowadzonych w 2007 roku badaniach⁶ twierdzi, że feministek się nie lubi, bo: po pierwsze, przypisuje się im (*sic!*) „wysoki stopień agresji interpersonalnej”, a po drugie, przypisywana im agresywność narusza fundamenty schematu kultury społeczeństwa tradycyjnego, w którym kobiety są istotami łagodnymi, miękkimi, opiekuńczymi i wstydliwymi. Gorzej! Wobec kobiet, które przyznają się do feminizmu, pojawia się duża liczba uprzedzeń, z których powodu (1) feministki zatrudnia się mniej chętnie niż niefeministki; (2) niechętnie się w nie inwestuje jako w pracowników; (3) nisko ocenia się ich możliwości awansu. Jeszcze gorzej! W przypadku dyskryminacji w miejscu pracy feministka w mniejszym stopniu niż niefeministka postrzegana jest jako ofiara, mniej się jej współczuje i mniejsza jest chęć nawiązania z nią osobistego kontaktu. Profesor Kofta stwierdza, że „bycie feministką jest prawdziwym stygmatem”. Nie trzeba jednak badań, by to wiedzieć, widzieć i czuć.